

Schulz po Odcieciu Wojciech Mazurek

„Nie mogę sobie przypomnieć ulicy, przy której leżało mieszkanie mego dzieciństwa. O, gdyby tylko wyrzeć przez okno, zasięgnąć tchnienia odwilży...” – tak kończy się *Undula*, debiutanckie opowiadanie Brunona Schulza, opublikowane – pod pseudonimem – w „Świcie” w 1922 roku. Pierre Fédida, znakomity francuski psychoanalityk, pisał o oddechu jako „emanacji nieobecności”. W reminiscencji, przeciwstawionej pamięci, niezwykłej język, nawiązujemy oddechową relację z materią naszej przeszłości, poddajemy przeglądowi to, co minione, nie poprzez wspomnienia, ale przez zmysłowe doznania. To „oddech z głębi czasu, co nas dotyka, uderza, porusza” – głosił Francuza Bieńczyk. Jednak osoby, stany czy rzeczy zwrócone obecności są nieprzedstawialne. W ostatnim zdaniu debiutu Schulza wychylona przez okno twarz – to już Didi-Hubermann – „drży, czując podmuch wiatru, niewyławialną, lecz dotykalną materię nadchodzącą stamtąd, z bardzo daleka, z najodleglejszej przeszłości”. Albo raczej: drżałaby, „gdyby tylko”.

Inicjalne „O” aktywizuje starogreckie okrzyki rytualne i chrześcijańską tradycję litanią, a przede wszystkim „obiecuje relację

komunikacyjną z nadadresatem”. Wiem to od Witolda Sadowskiego, wielkiego znawcy tej samogłoski. Więc: „tchnienie”, oddechowa relacja, uobecniająca utracone dzieciństwo i obietnica kontaktu z „transcendentem”. Obie tak dotykalne, jak nieprzedstawialne. Dość jak na jedno zdanie w debiutanckim opowiadaniu. Mam to zakończenie, urwane w wielokropkę, za zapowiedź *Sklepow cynamonowych*, chyba nieprzypadkowo aż dwanaście lat późniejszych.

Stanisław Rosiek proklamował „radość indeksowania” *textum* Schulza jako – niewymagającą żadnych uzasadnień – „zmysłową przyjemność”, która odkrywa świat *Sklepow czy Sanatorium pod Klepsydrą* „takim, jaki jest – pełen ukrytego ładu, tylko z zewnętrznego punktu widzenia wydający się chaosem, który domaga się uporządkowania”. Rosiek indeksy traktuje z miłością: w szkicu, pokazującym ich siłę, rozbiera wszelkie zastrzeżenia do nieuchronnej stronniczości indeksującego (jest ona „naturalna”) czy do wyrywania konkretnych sformułowań z kontekstu (indeksowy układ pozwala postawić „hipotezę ukrytej całości utworu”). Gdański badacz, dzieląc się tą wiedzą radośnie, przeżywa metamorfozę: jest to sobą,

od lat czytającym i wydającym Schulza, to „zamienia się” w swoich uczniów: Jakuba Orzeszka, „który opracował indeks ciała i jego wydzielin”, i Małgorzatę Groth „autorkę indeksu zwierząt i zwierzęcości”. A ja ze smakiem śledzę Groth-Rośkowe poszukiwania „ślądu niedźwiedzia”. I tryb jego istnienia w „śłodkiej niedźwiedziowatości”, w „niedźwiedzim futrze krzaków” i „niedźwiedzich barkach tragarzy”. Wyobrażam sobie Włodzimierza Boleckiego, który przeglądając ten indeks, upewnia się, że faktycznie poliptoton to najważniejsza figura Schulzowskiej prozy.

U Schulza: „odpywa się na falistym oddechu futrzanego brzucha ciemności w bezgwiezdnej nicości”, ogromne płótno i szeroka przestrzeń mają oddechy, „dach zwisa jak ogromne płuca, z których uciekł oddech”, „wszystkie oddechy idą spokojnie tam i sam przez całą szerokość tej sceny”, a wszyscy śpiący w domu „rosną na oddechu ku świtowi”. Wystarczy. Ten indeks Rośkowi by się nie podobał, przede wszystkim dlatego, że jest niepełny. Ale uważam, że za wcześniej autor *Odcięcia* pogodził się z rozdziałem pisma i oddechu. Zbyt pochopnie, już w pierwszym zdaniu książki, z kategorię rezygnacją, uznał, że czytanie nie jest „tak naturalne jak oddychanie”, a – w innym miejscu – że nie mamy dostępu do oddechu Schulza.

Mamy dostęp, a nikt nie ma go tak bezpośrednio, jak Stanisław Rosiek, którego książka – bardzo osobista – jest „emanacją nieobecności” „przodka” z Drohobycza. Edytorska praca nad *Dziłami zebranymi*, nad interpunkcją, fleksją, uzgadnianiem lekcji (słynne „świata” – „światła” z *Mityzacji rzeczywistości*), drobniagowe analizy rękopisu *Drugiej jesieni*, setek fotografii, dokumentów osobistych, listów, *cliché-verre*’ów – cały ten projekt rozpinania „elektrycznego łuku”, który połączy „umarłego” (Schulza) i „nowo narodzonych” (tych, którym Rosiek przeznacza swoje przedsięwzięcie), to szereg reminiscencji, nawiązań

oddechowej relacji, w których uobecnia się autor *Xięgi bałwochwalczej*.

Kiedy wziąłem do ręki *Odcięcie. Szkice wokół Brunona Schulza*, z niedowierzaniem uświadomiłem sobie, że to pierwsza samodzielna książka Rośka o Schulzu. Debiut. A przecież w Polsce nie ma drugiego badacza, który bardziej patronowałby współczesnej schulzologii i bardziej z drohobyckim pisarzem się kojarzył. Był pomysłodawcą i koordynatorem *Dził zebranych*, projektowanych na siedem tomów, z których na razie wydanych zostało pięć. Nie trzeba nikomu przypominać, że jest redaktorem naczelnym niezwykle prężnego czasopisma „Schulz/Forum”, które dowiodło, że wbrew pesymistycznym opiniom w schulzologii jest jeszcze wiele do powiedzenia. Zaprojektował i redagował kanoniczny *Słownik schulzowski*, był także jednym z autorów. Można by jeszcze długo.

Odcięcie to zbiór prac reprezentatywnych dla dotychczasowego namysłu Rośka nad autorem *Sklepów cynamonowych*. Pierwszy szkic powstał w 1993 roku, a ostatni – 2021. Wszystkie zapowiadają większą całość, książkę następną. A przede wszystkim – *Kalendarz życia, twórczości i recepcji Brunona Schulza*. Jest to zbiór fragmentów, bo tak Rosiek widzi zarówno życie i dzieło Schulza, jak i *Odcięcie* – jako ciągle dopełniające się przez kolejne odkrycia, a przede wszystkim cień *Mesjasza*. Fragment jest przedustawnie otwarty, dzięki czemu „z jednej strony, stanowi on projekt, wynikający z faktu własnej niepełnej struktury, a zatem zapowiedź, paradoksalny ślad przyszłości”, a z drugiej – „jego siła tkwi w natychmiastowym objawieniu przekazu, który zawiera”.

Zanim wskażę kilka najważniejszych fragmentów *Odcięcia*, wytłumaczę, dlaczego nazywałem tę książkę osobistą. Dowiadujemy się z niej o humanistycznej wierze Rośka w nieśmiertelność duszy, o Schulzowsko-Sandauewskich rozmowach na hotelowym balkonie

w Leeds, o tym, o co – przy pierwszej możliwej okazji – Rosiek zapyta Orzeszka, o formacyjnej lekturze eseju Ricœura, o próbach implementacji Simmla do każdego doktoratu (socjolożki kręcą nosem, a może Schulzowską nożką, bo wiedzą, że Simmla można przystawić do wszystkiego), a przede wszystkim – w tonie serio – o ciągłości pokoleń schulzowskich badaczy i trosce o wzajemne zrozumienie, a co za tym idzie, przygotowanie gruntu w postaci pełnej, krytycznej, objaśniającej – zgodnie z idealistyczną deklaracją – wszystko, co może sprawiać nawet najmniejszą trudność, edycji.

Z konieczności omówię tylko najciekawsze wątki. Pierwszy to sprawa biografii. Rosiek, metodologicznie ustawiwszy się po stronie „zwrotu biograficznego” (z przymrużeniem oka), uzasadnia potrzebę przygotowania *Kalendarza życia, twórczości i recepcji Brunona Schulza* na wzór Mickiewiczowskiego. Ma to być nieideologiczny, nienarracyjny, nieselektywny zbiór „wszystkich” dostępnych informacji o „tekście życia” Schulza, niezbędny, żeby „odzyskać” jego biografię. Rosiek zrobi to doskonale, White się uśmiecha (implikowana narracyjność), nie ma co udawać, że to niewinna robota.

Druga sprawa to archiwa. Siłę archiwum w książce reprezentują listy Alicji Mondschein o jej związku z Schulzem, drobiazgowe analizy wersji wspomnień Zbigniewa Jachimowicza o „idącym” drohobyczaninie czy „okołomarcowa” korespondencja urzędowo-prywatna Józefiny Szelińskiej. Rosiek wierzy w wyjaśniające archiwum, ale chyba raczej ma Danuta Ulicka, która pisze, że ono tylko „dostarcza faktów i poszlak komplikujących dotychczasowe informacje i przekonania”.

Trzeci wątek to fotografie. Gdański badacz jest ich znakomitym interpretatorem, wgłębia się w to, co w nich nieintencjonalne, rzucone na tło. W Schulza widzianego jako „symbol skrajnego wyobcowania”, którego

życiowymi zasadami są „zerwanie i dystans”. Okolicznościowe fotografie, pod okiem Rośka, stają się przejmującym „zapisem” „pustki interpersonalnej” wokół pisarza.

Czwarta sprawa to poetyki Schulza: inspirowane uwagi – choć bez odwagi Lipszyca, który pokazał że *Mityzacja rzeczywistości* nie zgadza się ze strategiami mityzacji rzeczywistości w samych opowiadaniach – Rosiek poświęcił rodzącej się w szkicach wokół Piłsudskiego, ale zrealizowanej być może w zaginionym *Mesjaszu*, koncepcji mitu jako „sensu urzeczywistnionego”. Imponujące są biograficzne, bibliograficzne i antykwaryczne poszukiwania współczesnych imienników Brunona Schulza, żeby ustalić, kto był autorem dwóch niemieckich opowiadań opublikowanych pod tą sygnaturą autorską w „Cetinjer Zeitung” w 1918 roku.

Tytułowe siedem fragmentów – *Odcięcie*, dotyczy schulzowskiego masochizmu. Rosiek wychodzi od znanego opisu snu Schulza o autokastracji i zakopaniu penisa w jamce, w ziemi. Dla gdańskiego badacza „odcięty penis – jest penisem, jest penisem, jest penisem...”. Odcięcie zaś to egzystencjalna strategia życiowa masochisty, który w „symbolicznej autokastracji odcina się od seksualnych potrzeb swego pierwotnego ciała – biologicznego”. Rosiek opisuje świat schulzowski jako ciemny, „bez bliskości” i porzucanie go nagle, w pół słowa, w pół obrazu, by „pójść na spotkanie... Z kim? Z sobą samym?”. Masochizm to bałwochwalcze wytworzenie dystansu w obrazie, któremu autor *Odcięcia* przeciwstawia seksualne zespolenie kochanków, którzy z zamkniętymi oczami „akceptują wzajemnie swoje ciała”. Roland Barthes napisałby, że to „zba wienna afazja”, „omdlenie, które przychodzi w porę”, „odrzuć języka, gdy go brakuje”. Seks oparty na takiej tautologii, zgadzam się z Rośkiem – tak. Praca naukowa – trochę za mało.

Ostatnie zagadnienie jest mroczne i piszę o nim z trudem. Rosiek przywołuje list Ireny Kejlin-Mitelman, opisujący okoliczności poznania przez nią Schulza. Miała wtedy „trzy-
naście czy czternaście lat”. Pisarz ma sportretować całą jej rodzinę. Przychodzi czas na dziewczynkę. Matka wychodzi. Schulz zamienia trzymaną przez nią różę na bez, poprawia ułożenie rąk. Nagle: „odkłada paletę, klęka przede mną, pochyla się i całuje mnie w nogi, gdzieś koło pęciny, nieruchomy. Tylko dłonie żyją samodzielnym życiem i suną coraz wyżej po łydkach, sięgają kolan. Od pierwszej chwili zastygłam, że nawet tego bzu z ręki nie wypuściłam. To było moje pierwsze zetknięcie z mężczyzną – nie tylko pierwsze tego rodzaju, ale pierwsze w ogóle. Ale gdy poczułam ręce pod sukienką, skoczyłam na równe nogi”. Dalej jeszcze stwierdza, że nie była rozwinięta seksualnie, „bez cienia kokieterii”. Roškowi „wystarczy jeden rzut oka na fotografię” dziewczynki, by zrozumieć, dlaczego mogło „do tego dojść” – „jej ciało jest „pre-seksualne, znajduje się poza płciami”. Badacz pisze o „ekspansji, dotknięciu, próbie

zbliżenia, o którym nie wiemy, czy miało być erotyczne”, a nawet „przekroczeniu zasad idolatrii”. Mamy jednak już od czasów – znanego bardzo dobrze schulzologom – Krafft-Ebinga właściwe określenie na to zachowanie: pedofilia niepreferencyjna. A na pewno w książce, która ma „rozpinać” międzypokoleniowy „łuk elektryczny” powinno pojawić się, nieuciekające w wielomówne formuły o idolatrii, określenie: molestowanie seksualne.

„Słowo ludzkie jest jak pęknięty garnek, na którym wybijamy melodie dla tańczących niedźwiedzi, choć chcielibyśmy poruszyć gwiazdy” – pisał Flaubert, w jednym z nielicznych fragmentów *Pani Bovary*, w których bezlitośnie mówił od siebie. Widzę Władysława Panasa, może być w Bramie Grodzkiej w Lublinie, wiedzącego, że świat Schulza to *szewirat ha-kelim*, taki pęknięty garnek. Widzę Małgorzatę Groth sprawdzającą, czy u Schulza niedźwiedzie też tańczą. Widzę Stanisława Roška, który mówi to samo, co Flaubert – innymi słowami.

Mesjasz urodził się pod asteriskiem. To taka drukarska gwiazda.